

Biała Góra

Adam Skoczylas

**Wydawnictwo Sklepu Podróżnika
Warszawa 2015**

Zamiast wstępu

Byłem uczestnikiem tej ekspedycji, nawet więcej, jednym z jej współorganizatorów, choć nosiła niepolską nazwę Swiss Himalayan Expedition. Po bez mała piętnastu latach tatrzańskich i alpejskich wędrówek, pojechałem wreszcie w Himalaje. Powinienem więc mówić o szczęściu: tysiączne kroki w Tatrach i Alpach zawiodły mnie na koniec w świat, o którym marzyłem, odkąd tylko udało mi się przejść cało i szczęśliwie pierwszą tatrzańską grań, miniaturową grań Fajek. Od tego czasu czekałem ufnie na Himalaje i doczekałem się. Zabiegałem o nie z ogromną wiarą w siebie, jak gdyby musiały mi ofiarować to zadowolenie i te radości, które przeżyłem w Tatrach czy Alpach. I nie zawiodłem się, wbrew temu, co można by sądzić po przeczytaniu tej książki, wbrew temu nawet, że właśnie tam, w Himalajach, przyszło mi patrzeć na własną słabość, na walenie się mitów, które każdy tworzy wokół siebie. Te miesiące pozbawiły mnie co prawda niejednego złudzenia, a jednak mimo to ofiarowały mi najpiękniejszą i najmądrzejszą przygodę życia.

Po powrocie zasiadłem do pisania tej książki. Może od razu wyznam, że nie uważam się za jej jedyne go autora. Już w Himalajach spisywałem dialogi i zasłyszane opowieści, starałem się nadać im za tym nieuchwytnym klimatem, który mógł powstać tylko dzięki połączeniu piękna Himalajów z bezpośredniością i gorącym sercem moich wyprawowych towarzyszy. Dlatego każdy z nich, każdy Szerpa czy kulis ma w niej swój udział. Starałem się nie pominąć niczego, być w zgodzie z prawdą, jakakolwiek

ona była, chociaż biorąc pióro do ręki, wiedziałem, że ta prawda może być przede wszystkim moją prawdą, bo nigdy, mimo wszystkich starań, nie uda mi się spojrzeć na tamte dni inaczej jak tylko własnymi oczyma. Lepiej będzie więc powiedzieć, że moje spojrzenie, mój obraz wyprawy, mieści się bez reszty w tym, co zaszło naprawdę.

Adam Skoczylas
Kraków, październik 1963

Aeroplane no good, *sahb!*

W spokoju wioski z wolna przychodziłem do siebie. Dni były teraz upalne, pola pękały wzdłuż i wszerz, jak gdyby gotując się na przyjęcie deszczów boga burz, Indry. Jednak na razie Indra czaił się jeszcze nad Zatoką Bengalską, toteż słońce tarzało się bez przeszkód po bezchmurnym niebie i wyciskało z nas siódme poty. Piloci latali w masyw Dhaulagiri, a ja, pod opieką kulisów i obu ślicznych didi, spędzałem popołudnia w swoim ulubionym miejscu, w pergoli utworzonej przez zwiste gałęzie drzewa mango. Wśród konarów uwijały się małpy, czasem zaćwierkała *kokila*¹⁹. Ścieżką obok przeszedł niekiedy bawół, dążąc ku najbliższej kałuży. Kładł się tam, zwieszał smutny pysk i trwał tak obojętny na wszystkie muchy świata. Najchętniej patrzyłem jednak na karawany. Wpierw odzywało się klekotanie dzwonek, potem wściekle okrzyki i w końcu spoza drzew wyłaniał się osioł-przewodnik. Za nim drugi, trzeci, cały rząd kłapouchów z frędzlami czerwonej wełny przy pyskach, dzwoniących, drepcących z gorączkowym pośpiechem. Na grzbiecie juki. Pochód zamykało paru mężczyzn z doliny górnego biegu Krishny Gandaki, z doliny Thak Khola. Skośne twarze, warkoczyki, do kolan brunatny czaudar odsłaniający tylko prawe ramię i rąbek muskularnego torsu, spodnie z wełny jaków i buty – wysokie, przystrojone czerwonymi chwostami, z zadartym nosem.

¹⁹ Kokila – indyjska kukulka, występuje na wysokościach poniżej trzech tysięcy sześciuset metrów n.p.m.

Wiało od nich daleką drogą, do wiosek północnego Nepalu, do tybetańskich bazarów, wreszcie do rodzinnej doliny Thak Khola. Thakalowie. Przemykali przez tutejsze doliny jak dzieci innego świata, wnosząc w już i tak skomplikowany obraz etniczny Nepalu coś zupełnie odrębnego: tchnienie serca Azji, Tybetu, jego język i mimo wielowiekowej asymilacji z grupami Staronepalów, tybetańską kulturę. Nie mogłem się im napatrzeć, może dlatego, że widziałem ich ziemię – dolinę Thak Khola – z samolotu. Rozbudziło to moją ciekawość, nie dawszy ani łutu zaspokojenia. Toteż nieraz wychodziłem im naprzeciw. Moi bosci, ledwo odziani pokharczycy i kulisi prychnali.

– *No good* – mówili – zwierzęta na nic. Most chwiejny i nie przejdą. Tylko my. *Look, sahb...*

Jeden kulis dosiadał drugiego i przenosili się na drugą stronę wąziutkiej ścieżki, która w takich chwilach ryczała masą wezbranej wody, walącej z grzmiotem o kamienisty brzeg dzikiego jaru.

Kiedyś dwóch takich nieboraków się potknęło i upadło. Normalnie równało się to śmierci. Wstrząśnięci patrzyliśmy, jak się podnoszą, otrzepują dhoti i wracają na miejsce. Nawet wiatr umilkł! Siedzieli wśród nas przerażeni tym, co się stało, i patrzyli na ów wymaginowany potok, który miażdżył ich ciała.

– Unikajcie mostów – mruknął ktoś. – Yamaha czeka was u mostu...

Tak mijały mi te dni. Nie było ich zresztą wiele, na pewno nie były też tak spokojne. Dla wyprawy nadeszły ciężkie czasy. Jej początkowy szybki rytm załamał się. Kurując się w mojej zacisznej pergoli, zbierałem skrzętnie wiadomości przywożone z Dapa Col.

W przeddzień mojego odlotu z bazy aklimatyzacyjnej Michel i Hugo, wstrząśnięci nagłym przewiezieniem w surowy klimat przełęczą, postanowili zejść niżej. Zabrawszy ze sobą namiot i jedzenia na cztery dni, powlekli się śnieżnymi zboczami doliny Dambush Khola w dół. Wieczór zastał ich już na wysokości czterech tysięcy trzystu metrów. Dopiero tutaj poczuli się zdecydowanie lepiej. Hugo ustawił namiot. Spędzili w nim noc i cały następny dzień, który Michel określił lapidarnie jako *Schweinerei*! Przy bezchmurnym niebie doliną pędził porywisty wiatr, przynosząc z miejsca na miejsce całe góry śniegu! Wokół namiotu utworzyła się potężna zaspą, metalowe rusztowanie chatki wygięło się w pałąk. Ciężki śnieg zginał już i tak niewielką

przeźreń, w której żyli. Walka z nim była tak dokuczliwa, że 7 kwietnia rano Hugo namówił Michela do powrotu na Dapa Col. Przejście tych na pozór niewielu metrów zajęło im cały dzień! Tonęli po pas w świeżo nawianych, głębokich poduchach śniegu. Hugo spodziewał się tej niespodzianki, toteż aby nie dźwigać przy tym ciężarów, zostawili namiot tam, gdzie stał.

Na Dapa Col powitała ich wiadomość o odlocie Dyhrenfurtha. Norman, nieznacznie tylko osłabiony szokiem wysokościowym, przez trzy dni szalał nad kamerą filmową, rozkręconą do najmniejszej śrubki. Z uporem maniaka składał ją raz po raz, jednak kamera uparcie odmawiała posłuszeństwa. Był to „ciąg dalszy” tych zgrzytów, które niepokoiły go już w Bhairawie. Drugą kamerę, nowiutkiego paillarda bolexa, Kurt zabrał ze sobą na Przełęcz Północno-Wschodnią, aby nakręcić sceny z rozbudowywania bazy operacyjnej. Toteż Norman, nasz oficjalny filmowiec, został bez narzędzia pracy. Rozjuszony przeciwnościami losu zdecydował się polecić przy najbliższej okazji do Pokhary i tu na miejscu poszukać jakiegoś mechanika. W Pokharze Mem Bahadur zaprowadził go do jedyne go człowieka parającego się obcęgami, miejscowego kowala, który witał ich w asyście pomocników, dzierzących w umorusanych łapach potężne młoty! O tej godzinie rozpoczęła się odyseja Normana. Powrót z kuźni na lotnisko, rozmowa z kapitanem Kingiem, który niczym Charon przewiózł go potem, wraz z towarami pokharskich kupców, do Katmandu. Ale i tutaj Norman nie znalazł człowieka znajomego się na kamerach. Poleciał więc z kolei do Kalkuty i wreszcie tam spotkał kogoś, kto mógł mu pomóc! Przed odlotem z Pokhary Norman odwiedził mnie w mojej pergoli. Pocieszaliśmy się nawzajem. Ja życzyłem mu uporania się z kamerą, on zaś mnie rychłego powrotu do zdrowia.

Na tę wzruszającą scenę nadszedł ze szpitala misji anglikańskiej Peter. Wciąż walczył z zatokami i w końcu doszło do tego, że w szpitalu zapuszczono mu w nie sondy. Roztrzęsiony tym zabiegiem kłął na cały świat! Nie wiadomo, skąd wzięła się zupełnie fałszywa i absurdalna plotka, że latem 1959 roku, podczas forsowania północnej ściany Eigeru w Oberlandzie Berneńskim, już niedaleko szczytu, dotknęła Petera choroba wysokościowa. Peter śmiał się, ale głupia uporczywość tej wersji zaczęła go w końcu denerwować. Gdy Hajdukiewicz zleciał 3 kwietnia do Pokhary i zbadawszy go, nie dawał mu szans na osiągnięcie dużych wysokości, Peter poczuł się bardzo dotknięty. Chodził podniecony, a teraz sondowanie zatok dało mu powód do głośnego

wyrażania swego niezadowolenia. Wieczorem zjedliśmy razem kolację. Peter marzył o wejściu na szczyt Białej Góry tak żarliwie, jak gdyby od tego zależał jego dalszy los. Chciał wracać na Dapa Col chociażby pojutrze...

Kolejnym ciosem stała się choroba Nimy Tenzinga w bazie aklimatyzacyjnej. Ten wesoły i pracowity Szerpa zachorował 4 kwietnia i piloci odtransportowali go do Pokhary z groźną diagnozą: rozwijające się przysoskrzelowe zapalenie płuc! Tak, nawet Szerpowie, ludzie od dzieciństwa mieszkający w Khumbu, powyżej trzech tysięcy metrów, załamywali się w surowym klimacie wysokich przełęczy masywu Dhaulagiri. Coraz częściej spoglądałem też na Yetiego krytycznym okiem. Samolot pozwolił nam wprawdzie uniknąć trudów domarszu, zyskać na czasie, jednak płaciliśmy za to chorobami. Nimę Tenzinga Hajdukiewicz polecił odesłać do szpitala misyjnego. Jego stan wydawał się zbyt groźny na to, aby leczyć go prymitywnymi sposobami.

Na Przełęczy Północno-Wschodniej życie toczyło się ospale. Nic z szybkiego, dramatycznego rozbudowywania obozów powyżej bazy operacyjnej, jak nazwaliśmy grupkę namiotów, wkopanych w lód siodła. Eiselin, chociaż uwięziony pracą w Pokharze, otrzymywał z Dapa Col, dzięki pilotom, dokładne informacje o stanie zdrowia naszych przyjaciół i z dnia na dzień odkładał datę przewiezienia ich na Przełęcz Północno-Wschodnią.

Toteż Kurt napisze później:

Mijają dni. Wciąż ta sama żmudna praca. Codziennie przylatuje do nas Yeti z ładunkami i jest to sygnał do rozpoczęcia wyciążającego przenoszenia ich w pobliże magazynu. Musimy to jednak robić, w przeciwnym wypadku piloci nie znaleźliby wkrótce, wśród bezładnie rozrzuconych skrzyń i worów, bezpiecznego miejsca do lądowania. Na szczęście nie jesteśmy już sami. O świcie, 4 kwietnia, przysłano nam z Dapa Col Nawanga Dorjee i Urkiena. Urkien jednak zaraz pierwszej nocy zachorował i rano musieliśmy odesłać go samolotem do Pokhary. Nawang Dorjee przetrwał szok, na miejsce zaś Urkiena przyleciał Ang Dawa III. Wciąż nie możemy się jeszcze otrząsnąć z wpływu wysokości, toteż kontrast między ogromem północno-wschodniej grani a naszą słabością jest deprymujący. Może dlatego przywołuję tak często starą, optymistyczną myśl, że stąd każdy krok w górę zbliży mnie do wierzchołka Białej Góry.

Zamiast wymarzonego „kroku w górę” 8 i 9 kwietnia przyniosły w masywie Dhaulagiri groźne burze śnieżne, w Pokharze zaś potopy deszczu.

Pierwszego dnia niepogody Eiselin chciał mimo wszystko dotrzeć na Dapa Col. Razem z Saxerem i Emilem wystartował już o szóstej czterdzieści rano, lecz po kilkunastu minutach Saxer doszedł do wniosku, że dalszy lot mija się z celem, i zawrócił do Pokhary. Podczas tych dwóch dni spadło na Przełęczy Północno-Wschodniej ponad metr świeżego śniegu! Słuchając wściekłego grzmotu ulewy, zastanawiałem się, kiedy wreszcie minie zła passa. Rozbicie wyprawy doprowadzało nas do gorączki. Ostre słowa, niekończące się dyskusje między Eiselinem a Saxerem. Max swego czasu wytrwale realizował ideę posłużenia się samolotem, jednak teraz był już bliski zwątpienia w wartość eksperymentu. Na pewno nie polepszało to jego nastroju.

Atmosfera była tak napięta, że wieczorem 9 kwietnia doszło do scysji z zupełnie błahego powodu. Little Dawa, już zdrowszy, przyniósł nam wspaniałą kolację. Zupa z drobiu, risotto, na deser kompot z ananasów. Peter chciał mu się jakoś odwdziżyć, więc rzekł:

– Świetna kolacja, Dawa! Wspaniała, dziękuję. Jesteś kucharzem z bożej łaski, ale za to jakim!

– *Prima*, Dawa! – dodałem i ja.

Gdy uszczęśliwiony Dawa zniknął za wejściem do namiotu, Max rzucił zupełnie zresztą słuszną uwagę:

– Nie wynoście Szerpów pod niebiosa, znam ich na tyle, żeby wiedzieć, jak ich to spoufala. Bardzo was proszę, nie utrudniajcie mi pracy. Przyjaźń przyjaźnią, ale każdy powinien znać przede wszystkim swoje obowiązki...

Przy napiętej atmosferze ostatnich dni najłatwiej było oczywiście za-protestować. O meritum sprawy rozmawialiśmy wprawdzie potem krótko, za to dąsy, zupełnie niepotrzebne, trwały do późnej nocy. Na Dapa Col, gdzie Michel zmierzył wówczas minus dwadzieścia stopni, ludzie kulili się w swoich śpiworach i nigdy nie przyszłoby im do głowy spierać się o rzeczy tak oczywiste, nawet więcej – konieczne. My byliśmy w sytuacji o tyle gorszej, że mogliśmy zwracać uwagę na to, co mówią i robią inni, a ciągle zdenerwowanie nie nastrajało nas do łagodności. Toteż większość takich i podobnych sporów rozegrała się w dolinach. Cóż, każdy z nas był żywym człowiekiem, trudno oczekiwać, aby trzynastu ludzi o zdecydowanych poglądach miało o każdej rzeczy jednakowy sąd. Jednak potem, im bliżej szczytu Białej Góry, tym bardziej zawężyły się różnice

zdań, w końcu pozostało nam tylko jedno wspólne pragnienie: wejść na Dhaulagiri. Podporządkowaliśmy temu celowi wszystko, nawet własne ambicje i zapatrywania. Nie było to łatwe. Ekspedycja skupiła w sobie trzynastu Europejczyków i ośmiu Nepalczyków – sześć narodowości – i na długo przed zdobyciem Białej Góry wszyscy odnieśliśmy to małe, wewnętrzne zwycięstwo.

„Jest w tym coś bardzo optymistycznego, i to mimo całej specyfiki naszej współpracy...” – napiszę też dwa miesiące później.

*

Wreszcie świt 10 kwietnia przyniósł pogodę! Czuję się znacznie lepiej, więc pomogłem Emilowi zatankować benzynę do baków Yetiego. Jedynym wspomnieniem po chorobie są rzadkie nawroty słabości uginające mi kolana i wilgoć w nosie. Postanowiłem jednak odczekać jeszcze dwa, trzy dni, aby lecieć na Dapa Col w pełni zdrowia. Za to Peter po raz któryś tam z rzędu spakował swoje rzeczy i przeniósł je do samolotu. Ostatnio chodził tak przygnębiony, że powinien uczynić ten krok, po prostu aby odzyskać wiarę we własne siły. Inna rzecz, że przydałoby mu się jeszcze kilka dni odpoczynku, jednak z dwojga złego takie rozwiązanie było lepsze. Toteż nie odradzałem mu niczego, gdy obudziliśmy mnie przed świtem, rzekł:

– Już nie wytrzymam, wracam dziś na Dapa Col, było nie było. Mam dość tego gnicia, oszaleję tutaj...

– Leć – odparłem. – Byłbym zapomniał, dziękuję za opiekę – dodałem jeszcze.

– Taki sobie rewanz – mruknął. – Zresztą po diabła to wszystko, czy ja ci dziękowałem?

– Za to wyprosiłeś moją chorobę, żebyś mi też mógł wytrzeć nos.

– Nie jestem aż takim draniem! – zaśmiał się.

– Powiedzmy. Przyślij mi z góry mój kuferek z aparatem fotograficznym i teleobiektywami, niech przynajmniej pofotografuję przez te dni. I schowaj mój statyw, został przed namiotem.

– Okej – obiecał solennie.

Teraz stoję w jaskrawym świetle poranka i spoglądam na Yetiego, który podrywa się do startu. Jest siódma dwadzieścia. Obok mnie siedzi